

Shopping a sprawa polska

Na szczęście w „zaistniałej sytuacji” – przed wyrażeniem stoi świetlana przyszłość – mamy do dyspozycji niezwykle użyteczną polską apkę „Pola” pozwalającą każdemu polskiemu klientowi szybciotko ustalić stopień polskości dowolnego produktu w Polsce, w czym mieści się polska działalność polskiego wytwórcy w Polsce, prowadzenie polskich badań w Polsce, polski udział polskiego kapitału oczywiście w Polsce. Zauważmy, że mimo wszystko czuje się pewien niedosyt polskości w tej przecież polskiej apce. Niezbędna byłaby ponadto informacja na temat nieskażonej polskości wszystkich przodków wytwórcy do, przynajmniej, dziesiątego pokolenia wstecz. *Idem*, ewentualnie, w odniesieniu do żony/męża oraz w kwestii szczerego wyznania katolickiego – obce Polakom związki inne niż małżeńskie i wyznanie inne niż katolickie powinny produkt natychmiast wykluczyć. Niestety apka obarczona jest jeszcze jednym istotnym mankamentem. Otóż naprędce, domowym sposobem wystrugany w polsko brzmiącym ziemniaku – broń Boże, przenigdy nie strugajmy czegokolwiek w ohydnie, germańskością na kilometry zalatującym kartoflu – aparat do demaskowania niepolskości aż syczy na określenie „apka”.

W bardziej lub mniej poważnych czasopismach publikuje się na prawo i lewo opisy takich i podobnych apek albo quasi-artykuły sprawiające wrażenie, dajmy na to, sporego kawalka kopiuj-wklej z jakiejś kawiarnianej karty napojów gorących. Nic innego jak przygody konsumentki Alicji w zaczarowanej krainie towarów i usług. Cóż się takiego z nami porobiło, że do idiotycznie banalnej czynności zakupów zaprzęgniemy technologiczne cacko o mocy obliczeniowej najpotężniejszych zaledwie wczoraj komputerów? Na dokładkę z patriotycznym zapalem – słoń a sprawa polska, w nowej gadżeciarskiej IT odsłonie. Nie wydaje się, żeby co do esencji była to praktyka o lata świetlne odległa od codziennego oceanu postów, fejsowych i instagramowych fotek okolozakupowych. W samej tylko Francji smerfonowe odruchy psa Pawłowa pożerają jakoby energię wytworzoną w niejednym tęgim reaktorze atomowym. Beznadziejnie ugrzęźliśmy w produktywizmie-konsumeryzmie, otepiającym swoim immanentnym otępieniem, na cyfrowym haju.

Narodziny państwa narodowego są współczesne narodzinom kapitalizmu. Nowa klasa najpierw kupców i właścicieli manufaktur w erze przedindustrialnej, potem wielkich przemysłowców ery industrialnej potrzebowała pewnej podbudowy ideologicznej w ostrej opozycji do starego, nie narodowego, ale stanowego porządku feudalno-arystokratycznego. Stąd i właśnie trochę jakby królik z kapelusza, państwo narodowe. W erze postindustrialnej, dla kolejnej klasy wschodzącej kapitalizmu, zatem dla demiurgów kapitalizmu finansowo-technokratyczno-scjentystyczno-

cyfrowego, narracja państwa narodowego, ku zaskakującemu zdumieniu niektórych, wcale a wcale nie jest szkodliwa, przeciwnie, nadzwyczaj pożyteczna, jako wręcz wymarzony neutralizator wywrotowych, antyautorytarnych, ogólnoludzkich solidaryzmów ponadnarodowych, na zasadzie „Dać im więcej, jeszcze więcej narodowych fajerwerków, paciorków i błyskotek, co by skuteczniej sobie do gardel skakali, a my w tym czasie swoje lody w anielskim spokoju będziemy kręcić!”.

Narażając się na śmieszność komunału, przypomnijmy, że współczesny kapitalizm nie ma od dawna nic wspólnego z pionierskim kapitalizmem z czasów Adama Smitha i jemu podobnych ojców-założycieli ekonomii klasycznej. Natomiast w całkowitej zgodzie z przewidywaniami Maxa Webera monstrualne korporacje oligo- i monopolistyczne upodabniają się do kurzum historii pokrytych monopoli feudalnych. Jedynymi godnymi ich konkurentami jawią się być państwa o analogicznej, na wskroś wertykalnej strukturze organizacyjnej, realizujące model kapitalizmu państwowego czy, jak kto woli, etatyzmu kapitalistycznego – wiadomo, przede wszystkim Chiny, niezrównany prymus nad prymusami. Tak pierwsze, jak drugie bez zażenowania ciążą ku autorytaryzmowi, a w dalszej perspektywie totalitaryzmowi doskonałemu. Wszystkie znaki na niebie i ziemi zdają się jednakże wskazywać, że bliska przyszłość będzie z grubsza niepodzielnie należała do etatyzmów kapitalistycznych, wbrew potocznemu mniemaniu. Skądinąd jak żyłeta przenikliwym zdaniem Corneliusa Castoriadis biurokraczm sowiecki był „kapitalizmem biurokratycznym totalnym” („capitalisme bureaucratique total”), podczas gdy menadżeryzm zachodni jest „kapitalizmem biurokratycznym rozczłonkowanym” („capitalisme bureaucratique fragmenté”). Nie inaczej, tym razem za Simone Weil, szajbę produktywizmu zidentyfikuje się już na pierwszy rzut oka równie dobrze w kapitalizmie, jak i w stalinowskim komunizmie. I tu, i tam kręciła się pełną parą dehumanizacja i reifikacja każdego człowieka z osobna i ludzi do kupy zusammen w celu osiągnięcia wiekuistej szczęśliwości w Edenie rozkoszy do cna racjonalnej, „naukowej” (scjentystycznej), technokratycznej organizacji produkcji i konsumpcji. Na płaszczyźnie produktywizmu-konsumeryzmu kapitalizm wschodni od kapitalizmu zachodniego różnił się wyłącznie pod względem kwantytatywnym, nigdy kwalitatywnym: pierwszy był zwykle nieskuteczny, drugi za to skuteczny do bólu. Bez krzty zaskoczenia więc, ostał się ino drugi, a dzięki Fukuyamie wiemy, że poza nim śladów życia się nie odnajduje.

Zwłaszcza futurystycznie opływowe etatyzmy kapitalistyczne, ale także korporacje oligo- i monopolistyczne cechuje coś, co byśmy nazwali strukturą fraktalną. A to dlatego, że perfekcyjnie wertykalna, zamordystyczna organizacja jednych i drugich powiela się w nieskończoność na absolutnie wszystkich szczeblach, od najwyższych kręgów władzy/zarządu po dyrekcję

żłobka/centrum dystrybucyjnego Amazona czy – Mamma Mia! – rektorat uczelni/institutu piękności. No i teraz najwyższy czas na wielkie zadanie dla technik cyfrowych wszelakich, krótko i dosadnie rzecz ujmując, dla pieszczoszka njejdżowego odmóżdżania, czyli dla informatyki¹. Ręczne sterowanie wszystkim – „wszystkich” można powoli już do lamusa wkładać – do prostych czynności nie należy. Potrafi zmęczyć. I to zmęczyć okrutnie, a skutek niekoniecznie zadowoli. Tymczasem nie po to mamy nieustający postęp, żeby się męczyć. Do masowej roboty, w rozumieniu „do roboty przy obróbce mas”, idealnie nadaje się informatyka². Kłopot z nią jest atoli tego rodzaju, że jej masowe zastosowanie prowadzi do anomii pełnoobjawowej³. Wtedy nie pozostaje nic innego, jak zaaplikować ją w jeszcze większych dozach. Tym sposobem w trzech prostych krokach osiągamy nirwanę ćpuna.

Adam Pałuchowski (Wrocław, 1 marca 2021).

Waszyngton, 6 stycznia 2021 – brawurowy, szamańsko-smerfonowo-terrorystyczny szturm na Kapitol.



¹ Niech czytają wyłącznie osoby będące w stanie opychać się żelkami Haribo w czasie kinowego seansu „Szczęk”: Manfred Spitzer, *Cyfrowa demencja: w jaki sposób pozbawiamy rozum siebie i swoje dzieci*, Wydawnictwo Dobra Literatura, Słupsk 2013. A tym z kolei skolatane poprzednią lekturą nerwy blogo ukoimy: Joanna Adamkiewicz, *Nowe technologie informacyjne w edukacji: niekoniecznie „cyfrowa demencja”*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015.

² Zob. Cathy O’Neil, *Broń matematycznej zagłady: jak algorytmy zwiększają nierówności i zagrażają demokracji*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 2017.

³ W swoich ciutko drażniących dusze wrażliwe zeznaniach, Chamath Palihapitiya, były wice-szef Facebooka ds. wzrostu siły rażenia platformy, obwieścił *Urbi et orbi*, że wspaniałomyślnie oferowane w mediach społecznościowych usługi „rozdzierają tkanę społeczną” i „niszczą funkcjonowanie społeczeństwa”, zob. najpierw James Vincent, „Former Facebook Exec Says Social Media Is Ripping Apart Society”, *The Verge*, December 11, 2017 (<https://www.theverge.com/2017/12/11/16761016/former-facebook-exec-ripping-apart-society>), a potem również Eric Klinenberg, „Why Doesn’t Facebook Build a Library?”, *Le Monde Diplomatique* nr 781 (66^e année), Avril 2019, s. 3 (<https://mondediplo.com/2019/04/11facebook>).